

A red dress with a V-neckline and decorative buttons is displayed on a mannequin. The background is a black and white photograph of a Parisian street scene with the Eiffel Tower visible in the distance.

GEORGIA KAUFMANN

Zapierająca dech w piersiach,
fascynująca opowieść – idealna dla fanek
książek Lucindy Riley.

KRAWCOWA Z PARYŻA



GEORGIA KAUFMANN

KRAWCOWA Z PARYŻA

tłumaczenie Robert Sudół


OTWARTE
KRAKÓW 2021

Tytuł oryginału: *The Dressmaker of Paris*

Copyright © Georgia Kaufmann 2020.

The right of Georgia Kaufmann to be identified as the Author of the Work has been asserted by her in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988. All rights reserved

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2021

Copyright © for the translation by Robert Sudół

Wydawca prowadzący: Olga Orzel-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Magdalena Drab

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na 1 s. okładki: suknia – © azndc / iStock by Getty Images,
Paryż – © Behzad Ghaffarian / Unsplash

ISBN 978-83-8135-132-4

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest przypadkowe.



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2021.

Druk: Opolgraf

*Dla mojej matki,
Elisabeth Michaeli Idy Anny Lorenz Kaufmann,
bez której historia ta nie mogłaby zostać opowiedziana*

KAMIEŃ

1991

Już czas, *ma chère*? Spóźnię się. Dziś jestem otępiała. Nie, nie chodzi o pogodę. Nowy Jork nigdy nie budził natchnienia w listopadzie, nawet w najlepszych chwilach. Nie chodzi też o to, że zimowe kolekcje są takie workowate i ponure. Po prostu nie mam pojęcia, jak się stosownie ubrać. Nie dziw się tak, *ma chère*. Wiem, co włożyć na raut w Białym Domu, na pokaz mody czy posiedzenie zarządu, ale takie wydarzenia bledną przy wadze tego, co wydarzy się dziś wieczorem.

Zostań, proszę. Będę spokojniejsza – a to spotkanie będzie miało wpływ także na ciebie. Może zmienić nasze życie. Jednak najpierw muszę uporządkować parę spraw. Zostaw te papiery, proszę. To mój testament. Chciałam tylko coś sprawdzić. Mam dopiero sześćdziesiąt trzy lata, nie zamierzam umierać w ciągu następnych pięciu! Ale wiesz, lubię się przygotować. Tak jak mówię, to bardzo ważne spotkanie.

Znasz historię tego domu, prawda? Jedynym pomieszczeniem nietkniętym podczas przeorganizowywania przestrzeni jest ta łazienka. Nigdy nie poznałam biznesmena, który nie liczyłby każdego centa. Rozrzutność nie leży w naturze ludzi, którzy zgromadzili fortunę. W podejmowaniu decyzji kieruję się oczywiście stylem, ale jeszcze bardziej rozumieniem struktury, materiału i funkcjonalności. W projektowaniu odzieży czy pomieszczenia, dosłownie wszystkiego, zasadniczą kwestią jest tworzywo. To rzemiosło polega zwłaszcza na zrozumieniu

materiałów i faktur, należy poznać ich wady i zalety. Dokonane przeze mnie wybory tworzą atmosferę tej łazienki.

Wiesz, co to? Cała łazienka jest w marmurze. Włoskim, ma się rozumieć, nie tylko dlatego, że pochodzę z Włoch – mimo swojego niezaprzecznego piękna indyjskie marmury są tak porowate i kiepsko wypolerowane, że w łazience okazują się niepraktyczne. Właściwy design to piękno uzyskane za pomocą tworzywa spełniającego swoje zadanie. Ten marmur jest i wodoszczelny, i piękny. Spójrz, wydaje się niemal żywym organizmem, poznaczonym przenikającymi się różowymi, czerwonymi, szarymi i białymi żyłkami. Sporo wysiłku kosztowało pozyskanie tego najjaśniejszego i najbardziej różowego marmuru Arabescato Orobico Rosso. Nie zliczę, w ilu magazynach byłam i ile asortymentów przejrzałam, żeby znaleźć tak jasny kamień. A jednak po dokonaniu zakupu nie naraziłabym takiego marmuru na zniszczenie, wnosząc go na piętro, dlatego został tutaj. Łazienka na górze jest inna, tam przewidziałam coś bardziej dostojnego i zarazem stonowanego. Moim zamiarem było pokazanie, że pan James Mitchell nie jest szpanerskim, pretensjonalnym dorobkiewiczem, ale człowiekiem z klasą. Marmur Carrera nie wchodził w grę. Cała ta biel w jednym pomieszczeniu? To tak, jakby kupować *haute couture* ze względu na markę, a nie na wzornictwo, krawiecki kunszt i materiał. To dobre dla ludzi, którzy mają pieniądze, ale nie mają gustu.

Plotę bez ładu i składu. Denerwuję się, niedobrze mi. Zaraz, zaraz, o czym mówiłam? A tak, już pamiętam. Breccia Onciata, ten kamień wybrałam do łazienki na piętrze. To lśniący beżowy marmur poznaczony białymi, różowymi i liliowymi plamami i żyłkami. Tak jak należy wybrać właściwy kamień na kafelki, właściwą tkaninę na sukienkę, tak samo należy wybrać strój odpowiedni do okazji. Gdy idę na spotkanie biznesowe, rozważam, jak duże wrażenie chcę wywrzeć, czy chcę kokietować. Jeśli już w progu chcę emanować

błyskotliwą przedsiębiorczością i siłą, zakładałam coś od Diora lub Yves'a Saint Laurenta. Jeśli do głosu mają dojść moja kreatywna dusza, artyzm i projektanckie umiejętności, wybieram własne projekty marki Dumarais. Mogę też urzekać, usypiać czujność swoją kobiecością, by za chwilę uderzyć, wykazując się zmysłem do interesów – wtedy ubieram się w Chanel. Mogę wywoływać te wszystkie reakcje, ledwie stając w drzwiach lub wchodząc do pomieszczenia. Ale nie dziś.

To niedorzeczne, *ma chère*, widziałaś kiedyś, żebym tak się rozwodziła nad tym, co na siebie włożyć? Nigdy nie przeglądałam garderoby tak dokładnie. Problem w tym, że jestem przerażona i za wszelką cenę chcę dobrze wypaść, więc nawet nie wiem, od czego zacząć. Zazwyczaj zaczynam od tkaniny, *ma chère*, tkanina jest zawsze najważniejsza. Nauczyłam się tego, gdy po raz pierwszy robiłam krój. Wytnij to samo w wełnie, jedwabiu albo bawełnie wzdłuż, potem w poprzek włókien, a za każdym razem wyjdzie zupełnie inna kreacja. Tkanina działa podprogowo. Bawełna to lato, a lato to bez troska. Len podobnie, ale jest bardziej wyrafinowany – trzeba się cechować dużą pewnością siebie, by nie przejmować się zmarszczkami na materiale. Wełna to zima, przytulność i ochrona przed chłodem. Jedwab jest dobry na każdą porę roku, zawsze oznacza bogactwo i luksus. Co do nylonu i poliestru – cóż, nylon ma zastosowanie w pończosznictwie, ale powinien być skrywany pod ubraniem.

Opuściłam dom rodzinny – w którym nie było prysznicza, a kąpaliśmy się tylko raz w tygodniu, w niedzielę przed pójściem do kościoła – bez grosza przy duszy, z dwiema zmianami ubrania i bielizny w odrapanej walizeczce. Dzięki talentowi i ciężkiej pracy stworzyłam to wszystko od podstaw. Dlatego codziennie bez wyjątku wchodzę do łazienki i zadaję sobie pytanie: jak powinnam dziś wyglądać? Z kim się zobaczę? Co chcę osiągnąć? Zanim się ubiorę, robię makijaż i włosy, a potem, gdy wyglądam perfekcyjnie, czuję się gotowa do wyjścia

i zaprezentowania wszystkich swoich walorów. Nie pozostawiam nic przypadkowi. Byłabym świetną harcerką.

Mam szczęście – moja figura w połączeniu z lekcjami poruszania się i postawy odebranymi u Diora sprawia, że wyglądam dobrze niemal we wszystkim. Nie umiem inaczej. Nawet w koszulce i džinsach prezentuję się elegancko. Jeśli człowiek ma klasę, widać ją niezależnie od tego, co włoży. Ale dziś? Nie wiem, co będzie odpowiednie, nie wiem, co zda egzamin. Po prostu nie mam pojęcia.

Chcę ci opowiedzieć pewną historię. Długą. Historię mojego życia. Dopiero wtedy będę wiedziała, co włożyć. A ty będziesz mogła mi pomóc.

*

Zaczęło się oczywiście od mojej matki, przecież wszystko zaczyna się od rodziców. Potrzebowałam czasu, aby pojąć, że ludzie postępują źle mimo najlepszych intencji, a niezamierzone konsekwencje ich działań odciskają na dzieciach najgłębsze piętno.

Nie zmyślam, bo naprawdę mieliśmy niewiele, kiedy się urodziłam. W latach trzydziestych Włochy były biednym krajem, a ludzie żyjący w Alpach nie mieli pieniędzy. Większość utrzymywała się z roli. Turystyka krajoznawcza i narciarska była pieśnią przyszłości. W Bressen nie znalazłabyś nawet sklepu z zabawkami. To miasteczko targowe w dolinie ciągnącej się aż do Merano i Bozen, największych miast w Tyrolu Południowym. Był tylko niewielki wybór towarów na zapleczu sklepu odzieżowego. W Oberfals dzieci bawiły się drewnianymi zabawkami struganymi przez rolników w długie zimowe wieczory.

W wieku ośmiu lat dostałam od mamy malowaną drewnianą lalkę na Boże Narodzenie. Nie miała ubranek, ale w moich dziecięcych oczach wyglądała cudownie. Bawiłam się nią bez przerwy. Nazwałam ją Elżbieta, na cześć angielskiej

księżniczki, której tata właśnie został królem. Umiałam już szyć i robić na drutach. Uczyłyśmy się tego wcześniej, ale nie dla rozrywki – były to praktyczne i niezbędne umiejętności. Zbierałam ścinki starych serwet i ścierek oraz podarte obrusy i wieczorami, kiedy mama nie potrzebowała mojej pomocy w Gasthausie, siadałam, żeby szykować kreację dla swojej księżniczki – jeden gruby ścieg za drugim. Trudno sobie teraz wyobrazić, jak wyglądała moja pierwsza projektancka próba, ale wtedy byłam bardzo zadowolona z rezultatów swojej pracy. Uszyłam lalce sukienkę z fałdowanym koronkowym przodem, zrobioną ze starej serwety. Do tego białe bawelniane figi i kamizelkę. Wydzierałam jej skarpetki, które opadały, oraz blezer. Gdy za sprawą lokalnej gazety „Dolomitten” rozeszła się wieść o nadchodzącej koronacji, pocięłam granatowy szalik ze wzorem w drobne żółte kwiatki, który zakładałam do dirndlu, i zrobiłam swojej lalce długą, ciągnącą się po ziemi suknię na ceremonię.

Z początku zostawała w domu, ale potem zaczęłam nosić ją ze sobą, najpierw do kościoła, potem w tornistrze do szkoły. Ledwie się mieściła, stópki wystawały z jednej strony, uważałam jednak, że przyszła królowa też powinna się uczyć. Tydzień po koronacji angielskiego króla, w maju, pokazałam swojej przyjaciółce Ingrid Stimpfl, jak mała księżniczka Elżbieta maszeruje w procesji za ojcem. Chciałyśmy znaleźć sposób, by doszyć jej do sukni futrzany kołnierz – kilka dni wcześniej ojciec Ingrid przyniósł do domu królika na potrawkę, a Ingrid powiedziała, że skórka mogłaby z powodzeniem udawać gronostaja. Kiedy to mówiła, wyglądałam długi tren sukni swojej księżniczki. Nagle urwała w połowie zdania i ze zmartwiałą twarzą spojrzała ponad moim ramieniem. Odwróciłam się.

Od tyłu podkraśl się do mnie Rudi Ramoser. Choć miał dopiero trzynaście lat, był wysoki i dobrze zbudowany wskutek pracy w polu. Przystojny blondyn o niebieskich oczach, do tego

pyszalkowaty, bo jego ojciec był najbogatszym człowiekiem w miasteczku i szwagrem burmistrza, *Herr Grubera*.

– *Du, Gitsch!* – krzyknął. – Czym tam się bawisz?! – Uśmiechnął się szyderczo, robiąc krok w moją stronę.

– Lalką – odparłam, patrząc mu w oczy i stojąc dzielnie w miejscu. Przywykłam do dokuczania.

– To jest lalka? – Parsknął i rozejrzał się, czy ktoś patrzy. – To jakiś kawał drewna.

Był większy ode mnie. Nie chciał lalki, chciał mi dopiec. Widywałam to spojrzenie u swojego ojca, gdy był pijany. Nauczyłam się trzymać wtedy z daleka.

– Należy do mnie – powiedziałam, robiąc wreszcie krok w tył. – Nie boję się. Jesteś zwykłym *Raudi*.

– To księżniczka Elżbieta. – Ingrid Stimpfl była uroczą, ale niezbyt bystrą dziewczynką.

– Księżniczka Elżbieta. – Rudi wyciągnął rękę po lalkę, ale przycisnęłam ją mocno do siebie. – Pokaż – warknął ponuro, odrywając mi palce jeden po drugim i ściskając je boleśnie.

W końcu wyciągnął mi lalkę z rąk, odwrócił się i odszedł.

– Jutro dam ci znać, co masz zrobić, jeśli chcesz ją odzyskać – powiedział.

Ingrid zaczęła chlipać. Moje palce były poznaczone białymi i czerwonymi pręgami – z taką siłą chłopak wyrywał mi Elżbietę. Zaciśnęłam zęby. Nie mogłam pozwolić, żeby doprowadził mnie do płaczu.

*

Rodzice nie poświęcali nam zbyt wiele czasu. Mama prowadziła Gasthaus Falsspitze, jedyny bar i restaurację w Oberfals. Pracowała bardzo ciężko (to chyba pozytywna cecha, którą mi przekazała). Ojciec z kolei był rozpustnikiem, co cierpliwie znosiła. W godzinach otwarcia baru matka uwijała się jak w ukropie, choć zawsze była gotowa nas wysłuchać, niemniej

doskonale wiedzieliśmy, że nie należy jej przeszkadzać, kiedy gotuje. Kompletnie się zatracala, siekając, trąc i mieszając w garnkach, jakby odprawiała rytuał. W jej ruchach, które uwielbiałam obserwować, był pewien medytacyjny rytm.

Gdy wbiegłam do kuchni bez tchu, cała roztrzęsiona, mama akurat przyrządzała *Knödel*. Przed nią leżał stos czerstwego chleba z poprzedniego dnia, a długi nóż poruszał się z gracją w jej dłoni, kiedy kroila pieczywo na drobnutkie kawałki, z których robiła kluski. Regularne etapy jej prac kuchennych mogły posłużyć do dokładnego odmierzania czasu. Musiało być tuż po trzeciej.

– Mamo! – zawołałam, próbując dotrzeć do niej spanikowanym głosem. Pamiętam, że byłam rozdarta pomiędzy żalością a strachem, że jej przeszkadzam.

Ostrze noża poruszało się w górę i w dół, krojąc chleb.

– Mamo! – powtórzyłam głośnie.

Podniosła wzrok. Nóż wciąż ciął czerstwe pieczywo.

– Jestem zajęta.

Z oczu popłynęły mi łzy.

– Rudi Ramoser zabrał Księżniczkę Elżbietę.

– Kogo? – spytała po dłuższej chwili, patrząc na mnie w roztargnieniu.

– Moją lalkę. Tę, którą dałaś mi na święta.

Odłożyła nóż i wbiła we mnie wzrok.

– To ją mu odbierz.

– Ale on ma trzynaście lat. Jest większy.

– Roso, to tylko lalka. Nie mam na to czasu. – Podniosła nóż i zaczęła kroić.

*

Rudi Ramoser czekał na mnie nazajutrz po wyjściu ze szkoły. Stał oparty o mur po drugiej stronie, rozmawiał z innymi chłopcami, ale odłączył się od nich, gdy tylko mnie zobaczył.

– Chcesz lalkę, *Gitsch*? – Niebieskie oczy miał niewinne, lecz ton jego głosu był zaczepny.

– Tak – odparłam, starając się nie okazywać strachu.

– Spotkajmy się przy moście. O trzeciej.

Gasthaus znajdował się w sercu miasteczka, a droga do Unterfels i St. Martin zaczynała się na rynku i przy wyjeździe z miasta przecinała rzekę Fals. Po lekcjach ulice pustoszały. Dzieci zajmowały się sprawunkami i obowiązkami domowymi, podczas gdy kobiety szykowały kolację, a mężczyźni byli jeszcze w pracy. Znałam wszystkich w każdym domu, który mijalam. Spojrzałam na fresk przedstawiający Świętego Jerzego na domu Koflerów. Byli z niego bardzo dumni. Zdałam sobie sprawę, że powinnam poprosić Ingrid lub Christl, swoją siostrę, żeby poszły ze mną. Byłam ubrana ciepło – czapka, rękawiczki, szalik, ciasno zapięty płaszcz – a mimo to cała się trzęsłam.

Zanim jeszcze dotarłam do mostu, usłyszałam Rudiego i jego kolegów. Stali na brzegu potoku, płynącego wartko po wiosennych roztopach. Rzucali kamykami na drugą stronę. Przystanęłam na szczycie błotnistej ścieżki i rozejrzałam się wokół. Nie widziałam Elżbiety ani w rękach Rudiego, ani na ziemi.

– Gdzie moja lalka?! – krzyknęłam zrozpaczona.

– Tutaj. – Wskazał palcem do góry.

Księżniczka wisiała nad brzegiem, przywiązana do drzewa.

– Nie dosięgnę – powiedziałam, powstrzymując łzy.

– Pomogę ci – odparł.

Patrzyłam na niego. Nawet się nie poruszył. Woda uderzała o głazy, rozpryskując się w powietrzu piękną mgiełką lśniącą w słabym blasku wiosennego słońca. Wydełam wargi. Łobuzy nie współczują słabeuszom, więc zamierzałam być twarda.

– Ale najpierw musisz coś zrobić.

Chłopcy przestali rzucać kamieniami i stanęli wokół Rudiego, stłoczeni jak stado owiec. Powoli zeszedłam ścieżką. Było ślisko. Rudi był wyższy o głowę od większości chłopców, a ja byłam mniejsza od każdego z nich.

– Chcę moją lalkę – powiedziałam.
– Musisz na nią zasłużyć – odparł, a przez jego twarz przebiegł cień obrzydliwego uśmieszku.

Nad linią drzew widziałam śnieg zalegający na łąkach. Byliśmy sami, z dala od ludzkich spojrzeń.

Wpatrywałam się w niego, zastanawiając się, czego może chcieć. Miałam niewiele rzeczy – a na pewno niczego, czego mógłby chcieć chłopak. Nie sądziłam, że lubi czytać, więc nie mogło chodzić o moje książki.

– Jak? – zapytałam po dłuższej chwili.

– Jak? – Uśmiechnął się do kolegów. – Podciągnij kieckę.

Chłopcy się roześmiali.

– Co?

– Podciągnij kieckę – powtórzył. – Chcemy popatrzeć, *Git-schele*.

Obserwował mnie bacznie, kilku chłopców się uśmiechało, tylko Michael Stimpfl, kuzyn Ingrid, wbił spojrzenie w ziemię. W szkole rozbierałyśmy się do majtek i podkoszulek przed gimnastyką, ale teraz poczułam się inaczej, choć nie wiedziałam dlaczego. Nie znalazłam jednak konkretnych powodów, żeby odmówić. Rudi świdrował mnie swoimi niebieskimi oczami. Uznałam, że chłopcy widzieli już w szkole takie pumpy jak moje, poza tym bardzo chciałam odzyskać lalkę, więc podciągnęłam spódnice. Chłopcy znów się zaśmiali, a ja oblałam się rumieńcem. Zawstydzona opuściłam wełnianą spódnice, która zsunęła mi się z powrotem na uda.

– Teraz mi ją oddaj – poprosiłam.

– To nie koniec – odrzekł Rudi drwiącym tonem. – Nie powiedziałem, że to wystarczy. Teraz podciągnij spódnice i ściągnij majtki.

Patrzyłam na niego. Nigdy tak nie robiłyśmy na sali gimnastycznej. Nawet przed innymi dziewczynkami – w ubikacji były drzwi, za którymi można się było schować. Czułam, że to złe, wręcz grzeszne. Popełniłam błąd, spełniając pierwsze

żądanie. Jak każdy łobuz Rudi nie zamierzał na tym poprzestać.

– Nie – powiedziałam, wyciągając się na palcach, aby wydać się wyższa, niż byłam w rzeczywistości. – Zrobiłam, co chciałeś, to teraz oddaj mi lalkę.

– Nie dam ci jej, dopóki nie zrobisz, co mówię. – Podeszedł do mnie i spróbował mnie chwycić.

Cofając się, nastąpiłam na lśniący omszały kamień i się poślizgnęłam. Dłoń Rudiego niczym kleszcze zacisnęła się na moim ramieniu, pociągnęła do góry. Złapałam odłamek kamienia i wykręcając się z uścisku, uderzyłam chłopaka z całej siły. Krew trysnęła mu z twarzy. Zawył i mnie puścił.

Upadłam na ziemię, wgramoliłam się z powrotem na brzeg i zaczęłam uciekać. Biegłam aż do piekarni Ramoserów. Burmistrz, wujek Rudiego, tęgi, butny mężczyzna akurat wychodził na dwór, gdy dopadłam do drzwi. Przemknęłam obok i zatrzymałam się nagle, odurzona mdławym, słodkim, drożdżowym zapachem. *Herr* Ramoser, tata Rudiego, spojrzał na mnie sponad lady. Spódnice miałam brudną, kolana poobcierane i zakrwawione, a twarz zalaną łzami.

– Rudi ukradł mi lalkę – zaszlochałam – Księżniczkę Elżbietę. Kazał mi... Nie chciał jej oddać, uderzyłam go kamieniem. Chyba go zabiłam.

Herr Ramoser wpatrywał się we mnie przerażonymi niebieskimi oczami.

– Co ona powiedziała? – spytał *Bürgermeister* Gruber, stając za moimi plecami. – Zabiła Rudiego?

– Chciałam tylko odzyskać lalkę – próbowałam tłumaczyć.

– Co zrobiłaś mojemu synowi?! – zagrzmiał *Herr* Ramoser.

– Nic mu nie zrobiła – oznajmił Michael Stimpfl, przeciskając się obok burmistrza. – To Rudi chciał jej robić brzydkie rzeczy. Ona ma dopiero osiem lat, tak nie można. – Podeszedł do mnie i zza pazuchy wyciągnął Księżniczkę Elżbietę. – Proszę, trzymaj.

Wyrwałam mu lalkę z rąk i przycisnęłam ją do piersi. Ubranko miała mokre i podarte, pod palcami czułam rozchodzące się szwy. Z mojego gardła wydobył się głośny szloch.

Dopiero po powrocie do domu zorientowałam się, że wciąż trzymam kamień. Podniosłam go do światła, by przyjrzeć mu się dokładnie. Oberfals leżało na kiepskiej, właściwie jałowej ziemi, która zdawała się spływać po skale pod spodem. Dziś już wiem, że to łupek. Składający się z milionów łyszczyków, przypominających drobne fragmenty plastiku, naszpikowanych kwarcem i skaleniem, przyprószonych drobinami granatu. Łupek nie jest tak twardy jak wapienie, z których wytwarza się marmur. Jest miękki i łuskowaty. W tamtych czasach uwielbiałam odzierać kolejne warstwy paznokciami.

Miałam szczęście, że chwyciłam kamień z wystającym kawałkiem ciemnoczerwonego granatu. Gdyby był to sam łyszczyk, roztrzaskałby się tylko na głowie, a Rudi dopadłby mnie ze zdwojoną siłą. A tak zostawiłam mu bliznę na całe życie, nad lewą skronią, tam, gdzie zatopiłam czerwony kamień. Wszystko jest kwestią wyboru. Nawet właściwie dobrany kamień, odpowiedni do potrzeb, może się nam dobrze przysłużyć.

WYKAŁACZKI

Kiedy się denerwuję, tak jak teraz, wtedy się uśmiecham. Trudno zachować spokojny wyraz twarzy, gdy instynkt nakazuje odsłonić zęby. Zastanawiam się, czy to jakaś atawistyczna reakcja na stres. Różnica pomiędzy odsłonięciem zębów w uśmiechu a obnażeniem kłów z wściekłości jest niewielka. Oczywiście mam śnieżnobiałe mocne zęby. Z iście religijnym zapalem myję je i czyszczę nitką. Zdążyłam wypróbować wszelkie dostępne techniki: taśmę dentystyczną, nitkę, hałaśliwe irygatory, nitko-wykałaczki podobne do małej procy oraz te nowe malutkie międzyzębowe druciane szczoteczki oznaczone kolorami dla różnej wielkości, wyglądające jak zmniejszone szczotki do szorowania butelek po mleku. Trzeba czasu i cierpliwości, więc stoję z ustami rozdziawionymi w niekończącym się „aaaa” i czyszczę każdą szczelinę, każdy ząb po kolei. Korzyści są takie, że po pierwsze wciąż mam wszystkie zęby, a po drugie lśnią nieskazitelną bielą jak macica perłowa w muszli. Gdy byłam mała, życie było prostsze. Mieliśmy wykałaczki.

*

Każdego ranka po śniadaniu, a przed wyjściem do szkoły, szłam do kuchennej szafki na przetwory i wyciągałam pudełko z wykałaczkami. Moim zadaniem było napełnianie solniczek

i pieprzniczek na każdym stole i uzupełnienie wykałaczek w drewnianych pojemniczkach. Wszyscy mieli zwyczaj bezwiednie dłużyć w zębach po skończonym posiłku, popijając czymś obiad, kolację albo słynny strudel mojej mamy. Był to dyskretny, ale powszechny rytuał.

Teraz myślę, że publiczne grzebanie w zębach jest ordynarne. Czyszczę zęby nitką tutaj, w swoim zaciszu. Dla dziecka mieszkającego w Gasthausie granica pomiędzy tym, co prywatne, a tym, co publiczne, się zaciera. Aż do końca lata 1943 roku chyba nie zdawałam sobie sprawy z wagi sfery publicznej, z potęgi widowiska. Dzieci dorastające w czasie wojny nie mogą porównać tego z niczym innym, dla nich to normalność. Dopiero po długim czasie zrozumiałam, że południowy Tyrol w Alpach, moja mała ojczyzna, został nieumiejętnie przyfastrygowany do Włoch po pierwszej wojnie światowej, gdy popruło się imperium Austro-Węgier. Przyłączenie austriackiego, niemieckojęzycznego południowego Tyrolu do Włoch było jak przyszczenie Księżniczce Elżbiecie rączek pluszowego misia.

Odkąd skończyłam jedenaście lat, rodziny czuły się rozdarte pomiędzy niemiecką a włoską tożsamością – albo swoi, albo obcy. Dwie faszystowskie nacje zawarły porozumienie, które rozerwało gobelin naszej codzienności. Młodzi mężczyźni musieli wybierać między nazistami Hitlera a Czarnymi Koszulami Mussoliniego. Był to podział w poprzek rodzin. Ci, którzy zdecydowali się zostać, byli uważani za zdrajców. Tych, którzy ruszyli do Niemiec, łącono jako nazistów. Mężczyźni odchodzili po cichu, powoływani do jednej lub drugiej armii, a ich rodziny zdradzały jak najmniej szczegółów. Potrafiłszy dochować tajemnicy – byliśmy ludem górali, rozmawialiśmy o pogodzie, późnych opadach śniegu, letnich burzach, ale nie o naszych wstydliwych sekretach.

We wrześniu 1943 roku wszystko się zmieniło. Alianci zeptnęli Mussoliniego na północ, gdzie utworzył on państwo marionetkowe w Salò nad jeziorem Garda, a niemogący stawieć

oporu Niemcy weszli do południowego Tyrolu i ogłosili go częścią Wielkiej Rzeszy. To teoretycznie kończyło wszystkie dylematy związane z przynależnością, jednak byliśmy pogubieni jak nigdy dotąd. Moi rodzice lamentowali, że urodzili się w Austrii, potem żyli we Włoszech, teraz mieszkają w Niemczech, a przecież nigdy nie ruszyli się z Oberfals.

Późnym rankiem po raz pierwszy usłyszeliśmy dzwony bijące w Unterfals, a potem w St. Martin, w dolinie. Herman Egger, dzwonnik z St. Martin, co tydzień grał te same melodie. Dobrze znaliśmy brzmienie jego kurantów, więc wiedzieliśmy, że sam z siebie nigdy nie wywołałby takiej kakofonii. Zgrzytliwe, nierówne metaliczne dzwonienie tworzyło rytm, który wszyscy intuicyjnie rozumieliśmy. Było to paniczne ostrzeżenie przed nadchodzącym zagrożeniem.

Nasza nauczycielka *Fräulein* Petsch wyprowadziła nas ze szkoły, nakazując wszystkim biec bezzwłocznie do domu. Razem z siostrą poszłam za listonoszem *Herr* Maierem na drugą stronę rynku. Przecisnęłyśmy się przez grupę mężczyzn wychodzących z *Gasthausu*. Moja matka stała w drzwiach, które zamknęła na klucz, gdy tylko weszłyśmy do środka. Laurin Maier przeszedł przez pustą salę do swego ulubionego stolika, witając się po drodze z *Herr* Holznerem. *Herr* Holzner spędzał większą część poranka na wleczeniu się chwiejnym krokiem do *Gasthausu*, a większą część wieczoru na zataczaniu się w drodze powrotnej do domu. Mama chyba zdawała sobie sprawę, że zostawienie go samemu sobie byłoby okrucieństwem. Powiedziała, żeby podać mu kufel piwa, *Semmelbrot* i *Speck*, a sama zaczęła zamykać okiennice. Gdy uporała się z ostatnimi przy stoliku *Herr* Maiera, mrok zgęstniał. Odwróciła się od okna, listonosz spojrzal na nią. Rozmawiali przez chwilę. Nie kazała mu wyjść.

Przychodził codziennie o podobnej porze, żeby zjeść obiad i poczytać gazetę. Był rzadko spotykanym w naszej dolinie okazem – kawalerem. Mnie wydawał się stary, ale gdy teraz o tym myślę, stwierdzam, że miał może czterdzieści kilka lat.

Był silnym, wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, lecz po górskich ścieżkach poruszał się z gracją. Mama powiedziała, żebym podała mu piwo, a sama poszła przyszykować obiad. Herr Maier otworzył egzemplarz „Dolomitten” i zaczął czytać, popijając piwo. Christl i ja bawiłyśmy się podstawkami pod piwo. Matka wróciła z kuchni z zupą gulaszową i chlebem. Wygoniła nas na górę.

Rozpaczliwe bicie dzwonów wywoływało wiele emocji, ale w nas najsilniejsza była dziecięca ciekawość. Za miesiąc kończyłam szesnaście lat, a najdalszą podróż, jaką dotąd odbyłam, była wycieczka dwa razy do roku, przed zimą i przed wiosną, do Bressen, leżącego w dolinie. Miasto znajdowało się po drugiej stronie mostu przerzuconego nad rwącą rzeką Etsch, gdzie nasza wąska dolina Falstal łączyła się z rozleglejszą i równinną doliną Vinschgau. Wskakiwałyśmy na tył powozu browarnego i jechałyśmy w dół, siedząc za pustymi beczkami po piwie. Wiosną mama kupowała nam letnie sukienki, a jesienią zimowe ubrania. Miałam sporo szczęścia. Jako starsza siostra zawsze dostawałam coś nowego, a Christl tylko wtedy, gdy rzeczy odziedziczone po mnie były tak znośzone, że nie dało się ich odratować. Szwendaliśmy się po mieście, podziwiając wymalowane na murach freski przedstawiające fascynacje i profesje właścicieli. Za każdym razem w drodze do Gasthausu nieuchronnie podziwiałam fresk przedstawiający Świętego Jerzego, uniesionego w strzemionach i przebijającego włócznią smoka, który wił się pod dudniącymi kopytami rumaka. Płomienie ze smoczej paszczy strzelały aż po okap. Z dala od ognia, nad drzwiami, unosiły się przystrojone winoroślą cherubiny, które z uśmiechem zerkwały na klientów wchodzących do środka. Po skromnych zakupach szliśmy na obiad. Patrzyłyśmy, jak rodzice piją piwo na koszt właściciela (bo z tego samego browaru pochodziło piwo, które sprzedawaliśmy u nas). Nie wiedziałyśmy nic o miastach, niewiele więcej o świecie poza naszą doliną.

Żołnierze, którzy wmaszerowali do naszego życia, przybywali z miejsca położonego o wiele dalej niż Bressen, za górami w innym kraju. Byli Niemcami.

*

Nasz Gasthaus znajdował się na rogu rynku, tam, gdzie kończyła się dolina. Droga z Oberfals pięła się w górę i urywała u płotu z przełazem. Matka najpierw zapędziła nas na piętro, a potem otworzyła okna i przymknęła okiennice, zapinając je na haczyk, byśmy mogły wyglądać przez pionową szparę między nimi. Patrzyłyśmy na zewnątrz, słyszałyśmy stłumione głosy i kroki dobiegające z rynku. Czekaliśmy.

Ludzie zaczęli zbierać się na rynku pod naszymi oknami. Doskonale było widać, kto przyszedł: ci ambitni, ci umęczeni i ci źle traktowani. Gruberowie stali obok rodziny Ramoserów. Rudi i jego bracia w skórzanych portkach, siostry ubrane w dirndl – wszyscy w kurtkach o gęstym ściegu z Sarner, ustawieni według wzrostu, wymachujący flagami ze swastyką. Pan i pani Demetzwowie, sklepikarze, Koflerowie, Hallerowie, Obristinowie i Mahlknechtowie, przyszedł wszyscy, jedna rodzina po drugiej. Rolnicy w niebieskich fartuchach mieli zbyt mało ziemi, by wyżywić duże rodziny. Rodzice i starsze dzieci imali się dodatkowych zajęć na większych, żyźniejszych polach. Przyszedł na rynek w powycieranych ubraniach, wodząc wygłodniałym wzrokiem, czekając na nadchodzącą zmianę.

Z drogi wijącej się z Vinschgau do Falstal doszedł nas ryk silników, dopiero potem to zobaczyłyśmy: najpierw dwa motocykle, później trzy ciężarówki i jeden wielki mercedes wjechały na plac przed kościołem. Zaparkowały w równym rzędzie. Z ciężarówek wyskoczyli mężczyźni w mundurach dźwigający torby i broń, momentalnie nastał chaos. W ciągu paru chwil zapelnili zazwyczaj pustą przestrzeń, którą zwykle zajmowały tylko błakające się bezpańskie koty i psy, a także wdowy

idące w czarnych szatach do kościoła. Wtedy znów zapadła cisza. Na rozkaz dowódcy żołnierze stanęli w dwóch równych kolumnach po obu jego stronach.

Wiedziałam, dlaczego przybyli. Choć Oberfals leżało w ślepych zaułku na samym końcu doliny, była tam wyboista wąska ścieżka prowadząca przez góry do Szwajcarii. Już od lat służyła za drogę ucieczki każdemu, kto chciał umknąć spod niemieckiej władzy.

Wyprężony Hauptmann czekał z rękami założonymi za plecy, otoczony swoimi umundurowanymi żołnierzami. Bürgermeister Gruber wystąpił z tłumu gapiów. Jakby się kurczył, idąc niepewnym krokiem i ze zwieszoną głową w stronę Hauptmanna. Ściśnięte przy oknie patrzyłyśmy, jak Gruber przystaje i próbuje się napuszyć, by powitać dowódcę, który stał tak nieruchomo jak kościelna figura Świętego Marcina w miasteczku w dolinie. Nie mogłam oderwać wzroku zafascynowana i przerażona zarazem. W Bressen raz czy dwa widzieliśmy włoskich żołnierzy, ale oni zachowywali się swobodnie.

Dyscyplina, z jaką ustawiły się pojazdy, a potem niemieccy żołnierze, stojący teraz nieruchomo, trzymający broń wycelowaną w niebo, mroziła krew w żyłach.

Nikt nie wie, jakie słowa padły między dwoma mężczyznami, ale wyglądało to tak, jakby Hauptmann spojrział z góry na naszego krąglego burmistrza i powoli wyssał z niego całą butę i pewność siebie, do tego stopnia, że kiedy biedak skinął głową i odwrócił się z powrotem do mieszkańców, wydawał się kompletnie sflaczały. Nawet z okna mogłam dostrzec, że jego zazwyczaj dumna rumiana twarz zbledła zupełnie, a workowate policzki przypominały zwaly bezbarwnego tłuszczu. Kości zostały rzucone, od tej pory miał wykonywać wszystkie polecenia Niemców – grzecznie, cicho, choć wbrew sobie.

– *Meine sehr verehrten Damen und Herren* – zaczął słabym głosikiem – kto pomoże zapewnić Herr Feldwebelowi i tym dzielnym młodym żołnierzom dach nad głową?

Odpowiedziała mu cisza, więc odwrócił się do Niemców.

– Może zechcecie panowie posilić się w naszym wykwiętym Gasthausie na czas przygotowywania kwater?

Poprowadził Hauptmanna w naszą stronę, a *Herr Ramoser* wraz z sierżantem i dwoma żołnierzami oddalili się w innym kierunku. Zbiegłyśmy na dół. Matka bez wahania poszła otworzyć drzwi.

– Roso – szepnęła – uprzątnij stół *Herr Maiera*.

Odetchnęła głęboko, przekręciła klucz w zamku i przywołała na twarz powitalny uśmiech.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że listonosz zniknął. Musiał się wymknąć tylnymi drzwiami. Podbiegłam do jego stołu, lecz stanęłam w pół kroku. Okiennice były otwarte – *Herr Maier* patrzył na wszystko przez okno. Zostawił niedojedzony gulasz i pół piwa. Pojemniczek na wykałaczki był przewrócony do góry nogami. Wszystkie leżały na jasnozielonym obrusie w dwóch równych stosikach. Wyglądało, jakby *Herr Maier* przełamał cały ich pęk na pół. To wymagało ogromnej siły. Końcówki niektórych były poplamione krwią.

TALK

Teraz, gdy wysuszyłam się po kąpiel, a skóra wchłonęła krem, czuję się świeżo. Kolejnym punktem jest talk kosmetyczny, pierwszy kosmetyk używany przez większość ludzi. Matki wcierają go małym dzieciom między paluszki i fałdki tłuszczu, by delikatna skórka pozostała miękka. Powąchaj, *ma chère*, oto słodki zapach niemowlęstwa. Nie sprzedają tego we flakonach ze rżniętego szkła, tylko po prostu w tekturowych pojemnikach. Ale trzeba wybierać rozważnie, dobry talk jest równie istotny jak perfumy. Nie szkodzi, że nikt nie widzi, jak go używasz, czy sypniesz szczyptę między palce u stóp, czy w upalne dni, gdy pot mógłby wystąpić ciemną plamą na błyszczącym powłóczyстым jedwabiu, muśniesz się pod biustem, oprószysz ramiona i już. Ale musi to być talk dobrej jakości. Zbyt mocny zapach będzie gryzł się z perfumami, zbyt gruboziarnista faktura będzie widoczna. Woń musi być dyskretna, a sam proszek półprzezroczysty, nie biały jak kreda. Mam dwa rodzaje: jeden z dodatkiem bułgarskiego olejku różanego – używam go, gdy nie wychodzę z domu, drugi, muszę się do tego przyznać, to talk dla dzieci.

*

Podczas wojny, po przybyciu Niemców, talk stał się jeszcze jedną pozycją na długiej liście towarów pożądanym, lecz niedostępnym. Wciśnięci między aliantów wyzwalających

południowe Włochy a kontrolujących północ Niemców byliśmy uzależnieni od paczek, które okutani mężczyźni pozostawiali w drewnianych szopach na wysoko położonych pastwiskach, gdzie krowy chroniły się na noc. Niegdyś wąska ścieżka prowadząca przez góry do Szwajcarii była teraz szeroka i wydeptana umęczonymi stopami ludzi pokonujących tę trasę. Nie tylko przemytników, ale też przerażonych i wygłodniałych mieszkańców uciekających przed nazistami. Mnóstwo rzeczy było zabronionych, mnóstwa rzeczy lepiej było nie robić.

Gdy tylko Hauptmann posilił się w Gasthausie, opuścił miasteczko, zostawiając je pod rozkazami sierżanta. Tego wieczoru nasi mężczyźni siedzieli przy piwie i nietkniętych kartach. Prowadzili ożywione, burzliwe rozmowy dotyczące ostatnich wydarzeń. Historia dotarła także do naszych okolic.

Okolo siódmej do Gasthausu przyszedł sierżant ze swoimi ludźmi i rozejrzał się wokół. Mieszkańcy patrzyli to na intruzów, to na swoje kufle. Zapadła osobliwa cisza. Stół *Herr Maiera* był wolny, więc sierżant i jego żołnierze zajęli przy nim miejsca. Gdy przechodzili przez salę, ciągnął się za nimi ledwie wyczuwalny, ale wstrętny smród.

Na ogół czekałabym już przy stole, ale tym razem uprzedziła mnie matka. Stojąc za kontuarem, usłyszałam jej głos. Zachowywała się uprzejmie, ale w jej tonie nie było ciepła. Wymieniła doskonale znane mi potrawy, starając się nie patrzeć na żołnierzy. Sierżant był olbrzymim mężczyzną, równie grubym, jak wysokim – jego cielsko dominowało w całym pomieszczeniu. Dwaj jego podwładni wydawali się niewiele starsi ode mnie. Jeden był chudy i podenerwowany, drugi wyglądał jak wzór aryjskiego boga, urodą przyćmiewał wszystkich chłopców z wioski. Obaj żołnierze byli spięci, siedzieli sztywno, by się nie poruszyć. Posłałam siostrę z pudełkiem wykalacek. Wróciła z miną wyrażającą obrzydzenie.

– On śmierdzi – powiedziała, marszcząc nos.

W ten oto sposób, nieświadomie, Feldwebel Schleich przejął we władanie stół *Herr* Maiera. Listonosz mieszkał w St. Martin i zatrzymywał się u nas po drodze, kiedy roznosił korespondencję po całej dolinie, w zimie pokonywał zdradliwe ścieżki prowadzące do gospodarstw położonych na ośnieżonych zboczach, ociekające wodą w sierpniu, gdy ulewy zalewały pola i przyginały zboże wyrosłe późnym latem. Do dnia przybycia nazistów codziennie jadł obiad przy stole najdalej od drzwi. Z tego miejsca miał dobry widok na rynek i gości, którzy zaglądali do środka. Rolnicy schodzący do doliny po zapasy i towary wpadali do nas, aby wypić szybkie piwo i zapytać listonosza, czy ma dla nich przesyłkę. Codzienne obiady niechybnie wydłużały jego popołudniowy obchód o całe godziny, bo chłopci z położonych wyżej gospodarstw, o twarzach wyraźnie ogorzałych i błyszczących od słońca i wiatru, w tradycyjnych niebieskich fartuchach i filcowych kapeluszach, przysiadali się do niego, żeby porozmawiać, a potem wciskali do kieszeni koperty zaadresowane do nich i sąsiadów i ruszali w drogę powrotną stromymi zboczami. Jednak po przybyciu Schleicha i jego ludzi minął cały tydzień, zanim *Herr* Maier znowu się pojawił.

Niestety stół został zawłaszczony przez Schleicha. Sierżant wchodził, odsuwał go i sadzał zwaliste cielsko na ławie pod ścianą. Potem brał kartę i mrużył świńskie oczka, okolone napiętą różową skórą. Wraz z przyjaciółmi nazywałam go „Sierżant Śmierdziuch”. Gdziekolwiek się pojawiał, okropny odór zwiastował jego przybycie i ciągnął się za nim. Po jakimś czasie doszliśmy do wniosku, że właśnie tak pachnie zepsuty ser.

W końcu wrócił Laurin Maier, usiadł przy swoim ulubionym stole, zamówił gulasz i *Knödel*. Kiedy wszedł, wszyscy zaczęli się z nim witać, dojście na miejsce zajęło mu więc pięć minut. Napoczął piwo, rozkoszując się długą pauzą, jaką każdy piwosz robi po pierwszym łyku, i właśnie wtedy ogromna sylwetka sierżanta przesłoniła światło wpadające przez drzwi. Gdy żołnierz przekroczył próg, zobaczył listonosza i przystanął.

Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Po chwili ruszył prosto do stołu, jak zawsze prowadząc swoich ludzi za sobą.

– To mój stół – powiedział z gładkim, śpiewnym akcentem ze Szwabii, który zupełnie nie pasował do jego wielkiej postury.

Herr Maier podniósł wzrok i sięgnął po kufel.

– Obawiam się, że ten stół jest własnością *Frau Kusstatscher*, ale jako stały klient siedzę przy nim od lat. – Upił spory łyk piwa, nie odrywając oczu od sierżanta.

Żołnierze stojący za Śmierdziuchem wyglądali, jakby chcieli się zapaść pod ziemię.

– *Spieß?* – Wysoki przystojny szeregowy odezwał się pierwszy.

W wiosce mówiono, że nazywa się Karl Heinz Köhler. *Schleich* zeszytywniał i położył dłonie na oparciu krzesła, patrząc listonoszowi w oczy.

Herr Maier urwał kawałek chleba i zamoczył go w misce gęstego czerwonego sosu. Unosząc pieczywo do ust, nachylił się i powiedział spokojnie:

– Jak już mówiłem, siedzę przy tym stole od lat. To moje miejsce. Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, żeby pan go zajmował, kiedy mnie nie ma, ale teraz byłbym wdzięczny, gdybyście sobie poszli. Gulasz mi stygnie. – Zagryzł ociekający sosem chleb.

Wszyscy w lokalu słyszeli słowa listonosza – sierżant świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Opuścił ręce na pas, przy którym – jak każdy doskonale wiedział – nosił broń. Wtedy wymizerowany chudy żołnierz zrobił krok do przodu i szepnął mu coś do ucha. Zapadła cisza, gdy sierżant obracał w myśli to, co usłyszał od tykowatego szeregowca. Poskutkowało. Cała trójka skierowała się do wyjścia. W tamtej chwili nikt nie znalazł nazwiska żołnierza, ale jeszcze tego samego wieczoru wszyscy dziękowali w duchu szeregowemu Thomasowi Fischerowi.

Sierżant przystanął jeszcze w drzwiach i spojrzał na listonosza, jakby chciał coś powiedzieć. Akurat stawiała przed nim piwo, które matka posłała mu wraz z wyrazami uznania.

Gdy wracałam za kontuar, sierżant gapił się na mnie w sposób, od którego wywrócił mi się żołądek. Miał dziwną twarz, bruzdowaną różową cerą, małe niebieskie oczka osadzone głęboko w napuchniętych oczodołach i wygolone niemal do skóry jasnobrązowe włosy skrywane pod wojskową czapkę. Wyglądał bardziej jak wielkie dziecko niż dorosły, ale gdy jego wzrok spoczął na mnie, poczułam jego męską chuć. Dziś potrafię odeprzeć nieproszone zaloty swobodnym wzruszeniem ramion albo jednym spojrzeniem zyskać uwagę mężczyzny. Wtedy jednak nie wiedziałam, jak sobie radzić ze zwierzęcym pożądaniem, i poczułam się nieswojo.

Wkrótce potem życie wróciło do normalności. *Herr* Maier przychodził dwa–trzy razy w tygodniu i siadał przy swoim stole. Gdy nie było go u nas, wędrował wśród położonych wysoko gospodarstw, roznosząc listy. Codziennie tuż po tym, jak dzwony kościelne wybijały południe, Köhler lub Fischer stawali w drzwiach Gasthausu, patrzyli na stół, potem na bar i wychodzili. Jeśli miejsce było wolne, wracali z sierżantem. Jeśli zajmował je listonosz, jedli u Streitbergerów.

Patrząc na to z perspektywy czasu, najbardziej dziwię się temu, jak łatwo potrafiliśmy się przystosować do okropnych warunków. Czy to przewrót wojskowy dławiący demokrację, czy sojusznicza inwazja, wkrótce wszystko staje się normalne, wkrótce zapominamy, że można żyć inaczej. Niewielu było ludzi takich jak Laurin Maier, którzy wyznaczali granicę i przeciwstawiali się tyranii sierżanta. Większość starała się mu przypodobać, raczyła go piwem i ciastem (szybko stało się jasne, że jest łasy na słodkości), po czym dalej zajmowała się swoimi sprawami.

Dla nas, dzieci, życie toczyło się tak jak przedtem, dzieliłmy swój czas między szkołę a obowiązki domowe. Mama zabroniła mi dołączyć do nazistowskiego Jugend, założonego przez szeregowego Köhlera. Dziewczyny w szkole mówiły o nim bez przerwy, ale mama stwierdziła, że muszę jej

pomagać w Gasthausie. Dzięki temu widywałam go niemal codziennie z Fischerem i sierżantem. Szybko nauczyłam się, jak podawać sierżantowi jedzenie przez stół. Podejście bliżej byłoby nierozsądne.

Obsługując tych trzech żołnierzy, wkrótce dowiedziałam się wszystkiego, co powinnam była wiedzieć o mężczyznach. Sierżant wlepił we mnie gały, gdy tylko ruszałam zza kontuaru. Patrzył tak intensywnie, że niemal czułam, jak zostawia na mnie swój oślizgły lubieżny wzrok. Köhler był zawsze uśmiechnięty, przyciągał moje spojrzenia, ale nigdy nie ciekawiło go, jak mam na imię – potrzebował po prostu, bym się nim interesowała. Fischer natomiast był inny. Wydawało się, że rozumie, przez co przechodzę. Po paru dniach zwracał się do mnie po imieniu, zawsze mówił „proszę” i „dziękuję”, a gdy tylko sierżant próbował mnie dotknąć, ręka Fischera jakimś cudem mu w tym przeszkadzała. Matka nic nie zauważała, a ojciec zazwyczaj był zbyt pijany, by interesowało go coś oprócz następnej butelki piwa.

Każdy w Oberfals wiedział, że z mojego ojca jest pijak i lichi karciarz. Każdy też starał się trzymać stronę matki. W Gasthausie dawano mu wygrywać, żeby mógł wziąć sobie kolejną butelkę (matka usiłowała kontrolować jego picie, dlatego liczyła go jak każdego innego klienta). Jak się okazało, Schleich też grał w karty. W pierwszym tygodniu grywał ze swoimi pochlebcami: burmistrzem, Ramoserami i resztą kretynów. Gdy grał, zapadał się w sobie. Zwieszał brodę nad brzuchem i ściskając karty w serdelkowatych palcach, całkowicie skupiał się na rozdaniu. Nie wydawał się zbyt bystrym karciarzem, był raczej metodyczny, aż w końcu każdy przeciwnik, jeden po drugim, wymyślał wymówkę i odchodził od stołu. Po dwóch tygodniach nikt nie chciał zasiąść z nim do gry.

Zaczęło się od małej partyjki. Pewnego wieczoru szeregowcy wyszli, a Schleich został sam i długo marudził nad piwem,

gapiąc się, jak zbieram szklanki i brudne talerze, wyrzucam resztki i poprawiam obrusy. Ojciec tkwił przy barze, z pustym kuflem pokrytym zaciekami z wyschniętej piany. Matka nie sprzątnęła kufła na znak, że już wystarczy picia.

Nie widziałam, jak do tego doszło, ale kiedy wyszłam z kuchni, ojciec siedział ze Schleichem, który rozdawał karty. Sierżant przegrał, kupił ojcu piwo, potem przegrał po raz drugi. Porzucił grę na parę dni. Lecz potem zagrali znowu. Za pierwszym razem Schleich wygrał o włos, za drugim ojciec spuścił mu manto i odtąd grali już codziennie. Schleich przegrywał większość partii. Wkrótce matka zorientowała się, że w porze obiadowej ojciec schodzi do St. Martin i przepija wygrane w tamtejszym Gasthausie.

Potem dobra passa nagle się skończyła. Po powrocie z St. Martin ojciec raczył wszystkich sąsiadów plotkami z większego miasteczka. Nie patrzył nawet za bardzo w karty, aż w końcu po paru partyjkach umilkł. Zniknął stos monet, który zazwyczaj widzieliśmy po jego stronie stołu w ciągu ostatnich tygodni. Za to Schleich układał ładną stertkę przed sobą. Nie dorzynał ojca od razu, przeciągał tortury przez cały wieczór, przerzucając monety z jednej strony stołu na drugą. Wszyscy widzieli, że większość i tak w końcu ląduje w jego rękach. Za każdym razem, kiedy ojciec wygrywał, zaczynał czuć się pewniej i obstawiał wyżej. Kilku stałych klientów zebrało się wokół stołu, popijając piwo w ciszy. Byłam zmęczona, ale nie mogłam oderwać oczu od tego przedstawienia. Ojciec garbił się na krześle, ściskając karty. Przybrał postawę przegranego. Schleich natomiast wyciągnął swoje cielsko w górę, na ile tylko pozwalała mu fizyka, cały w gotowości, delikatnie trzymając karty w grubych paluchach.

- Szczęście się od ciebie odwróciło – stwierdził i odłożył talię.
- Wróci. Sam pan zobaczy – odparł ojciec.
- Na twoim miejscu bym się wycofał. – Schleich znów rozłożył wachlarz kart, jedna po drugiej.

– Nie. Gramy. – Ojciec zerknął na monety ustawione w równe słupki. – Za wszystko.

– Tak? A co postawisz potem? – spytał spokojnie sierżant, wyrównując krawędzie kart.

– A co by pan chciał? – odparł ojciec zachrypłym głosem.

– Nic wielkiego. Może być pieczona kurka.

– Co? Tylko tyle? – Ojciec wyprostował się w poczuciu ulgi i uśmiechnął, jakby sądził, że Schleich jest jeszcze głupszy, niż mu się wydawało.

– Byle dorodna i soczysta – dodał sierżant, wbijając we mnie wzrok.

Pobiegłam do kuchni.

*

Nazajutrz ojciec wstał późno. Po śniadaniu przyszedł do kuchni w poszukiwaniu niebieskiego fartucha.

– Trzeba wydoić krowy – powiedziała matka, zajęta gotowaniem.

– Nie teraz. – Zawahał się, a ja dostrzegłam krople potu na jego skroni. – Muszę iść po kurę – wypalił.

Matka w końcu spojrzała na niego znad garnków i skupiła wzrok.

– Po co ci kura?

– Dla Schleicha.

– Co? – Odłożyła obieraczkę i przeszła go wzrokiem.

– Wygrał pieczoną kurę. – Ojciec usiłował przybrać zdawkowy ton, po czym wypadł na zewnątrz.

W tamtych czasach domy wciąż budowano tradycyjnie – parter służył również za oborę dla zwierząt, a pomieszczenia mieszkalne znajdowały się na piętrze. Frontowe drzwi wychodzące na rynek były zarazem wejściem do Gasthausu, boczne prowadziły do przytulnej obory, w której trzymaliśmy krowy, świnie i kury. Matka poszła za ojcem w głąb sieni, a Christl i ja

podreptałyśmy za nią. Gdy weszliśmy do środka, ojciec za nogi trzymał Trudi, ulubioną kwoczkę mamy. Gdakała przeraźliwie. Była młodą kurą pokrytą lśniącym płaszczem nakrapianych brązowych piór, bardzo płodną – codziennie bez wyjątku zносиła duże jajo – a do tego najdorodniejszą w naszym małym stadku.

– Tylko nie Trudi – poprosiła mama, patrząc na inne skrzeczące kury. – Weź Lotte, ona jest stara.

Wyminął nas i wszedł do pomieszczenia gospodarczego, w którym matka trzymała siekiere i pieniek. Kura dziko trzepotała skrzydłami.

– Wygrał najdorodniejszą – powiedział ojciec, unikając spojrzenia matki. Mocno trzymał Trudi, która wciąż próbowała się wyrwać spod topora.

– Oszalałeś?! Przerzynałeś wszystkie pieniądze i teraz stawiasz moje kury?!

Trudi zaskrzeczała i załopotowała skrzydłami.

– Niewiele brakowało, bym się odegrał. – Głos ojca ledwie przebijał się przez ptasie wrzaski.

– Niewiele brakowało? Wszystko przegrałeś!

Przez moment widziałam wstyd malujący się na ojcowskiej twarzy, ale bardzo szybko ustąpił dumie.

– Prawdziwy mężczyzna spona długie – stwierdził tata. Zerknął na matkę, podnosząc wyzywająco siekiere, i zamachnął się mocno, po czym w oborze zapadła cisza. – To sprawa honoru.

Upuścił na ziemię bezgłowego ptaka, który zaczął biegać w kółko, co chwila wywracając się i podnosząc.

– Ty głupcze! – Matka spojrzała na kurę trzepoczącą skrzydłami, a potem na ojca. – Nie rozumiesz, Norbercie? Schleich cię wykorzystuje. Zawsze cię ogra.

Lecz gdy ojciec zaczynał wygrywać, natychmiast zapomniał o poprzedniej grze, o wyraźnej prawidłowości, którą dostrzegali wszyscy oprócz niego. Za każdym razem, kiedy miał dobrą passę, szczęście nagle go opuszczało – a jednak grał dalej. Z czasem stracił całe swoje drogocenne mienie: filcowy

kapelusz, piękną laskę, którą wyrzeźbił dla niego ojciec, akordeon, nóż myśliwski. W te noce grali do trzeciej-czwartej nad ranem. Nazajutrz budziły nas wściekle syki matki, usiłującej wyciągnąć ojca z łóżka.

Pewnego wieczoru zagrali nawet o nią. O moją matkę. Ojciec śmiał się z tego następnego dnia, gdy z niecodzienną ostrożnością ciągnął za krowie wymiona, wspominając, jak dobrze mu poszło, bo nigdy by nie pozwolił, aby Sierżant Śmierdziuch dotknął jego kobiety. Matka przestała się do niego odzywać. Schleich natomiast przestał grać, stwierdził, że stracił zainteresowanie kartami. Za dużo przerzynał. Lecz ojciec nagabywał go raz po raz, aż w końcu wymusił na nim niechętną zgodę.

*

Pewnego wieczoru pod koniec listopada – dokładnej daty nie pamiętam – obudził mnie ojciec, szarpiąc za ramię.

– Chodź ze mną – wymamrotał, ściągając mnie z łóżka.

– Co się stało? – wybelkotałam.

– Nic, cicho bądź. – Pociągnął mnie mocno.

Do mojego półprzutomnego umysłu wdarła się zjelczala kwaśnawa woń alkoholu bijąca z porów jego skóry. Wstałam i narzuciłam szal na ramiona.

– Chodzi o jedną z krów – wyjaśnił ojciec. – Musisz mi pomóc.

Ruszyliśmy na dół, dalej przez bar i zimną kamienną sień do obory.

– Znowu przegrałem – wypalił, naciskając klamkę i otwierając ciężkie drewniane drzwi. Objął mnie ramieniem i wprowadził do środka. – To sprawa honoru – dodał i zatrzasnął drzwi za sobą.

Widzisz, *ma chère*, że dygoczę. Nadal, pomimo upływu tylu lat, nie chcę dopuszczać do siebie tego wspomnienia. Muszę jednak to zrobić, inaczej moja historia nie będzie miała sensu.

Powinniśmy wejść do tej obory razem, w przeciwnym razie nie zrozumiesz. Wybacz mi i zostań ze mną.

Zdezorientowana stanęłam w mroku. Co honor ma wspólnego z niedomagającą krową?... Poza tym co ojciec robił przy krowach w środku nocy? Gdy czekałam, aż oczy przywykną do ciemności, moje powonienie najwyraźniej się wyostrzyło, bo przez znajomą gęstą słodkawą woń zwierząt przedarł się okropny smród. Był to dziwny, serowaty odór, aż żołądek wyrzucił mi się ze strachu.

Z dziko bijącym sercem rozejrzałam się dokoła. Z mroku zaczęły się wyłaniać wyraźniejsze kształty i półcienie. Przy jednej z krow ktoś ukucnął. I nagle wszystko nabrało sensu. To był sierżant Schleich. Klęczał przy krowie, ściskając ją mocno za wymię. Do jego ust tryskały strumyczki gęstej bieli.

– Co pan tu robi? – wyszeptałam. Wciąż bałam się okazać ojcu nieposłuszeństwo i narobić hałasu.

– Zgarniam śmietankę – odparł i dźwignął się na nogi, po czym ruszył ku mnie.

Oczywiście próbowałam uciec, ale poruszał się błyskawicznie, był nadzwyczaj szybki i zwinny. Odepchnął mnie na bok i wsunął do zamka klucz, który najpewniej dostał od ojca. Przekręcił go. Odsunął klucz poza zasięg moich rąk, a potem włożył go do kieszeni. Odgarnął dłonią kurtkę u dołu, od niechcienia rozpiął kaburę i wyjął pistolet.

Otworzyłam usta, żeby zawołać o pomoc.

– Cicho, moja miła – wysapał. – Chyba nie chcesz narobić ojcu kłopotów z matką, co?

– Niech pan mnie puści. Proszę.

Usłyszałam, że ojciec stęka i wymiotuje w sieni, a potem jego oddalające się kroki ucichły. Sierżant wykręcił mi rękę za plecy i wciskając lufę pistoletu w lędźwie, pchnął mnie na siano wysypujące się ze stojaka.

Nie mogłam go powstrzymać. Nie miałam szans, był wielkim mężczyzną. Mogłam jednak gryźć i drapać. Rozdarłam

mu koszulę krótkimi paznokciami i ugryzłam go mocno. Miał cycki i fałdy, warstwy nagromadzonego tłuszczu, który amortyzował moje wysiłki, gdy próbowałam odepchnąć to cielsko. Był najbardziej masywnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. Przycisnął mnie mocno do brzucha. Nie mogłam oddychać, myślałam, że mnie udusi.

W końcu przestałam walczyć. Byłam porażona, obezwładniona. Wiedziałam, że bez trudu mógłby mnie zabić. Zamknęłam oczy i spróbowałam udawać, że znajduję się w innym miejscu, ale z każdym wdechem jego woń wdzierала się w moje fantazje. Jest takie słowo, którego używaliśmy w górach – „*schirch*”, w górnioniemieckim tłumaczy się je jako „brzydki”, ale zawiera w sobie o wiele więcej niż to. Sierżant był *schirch*. Chodziło nie tylko o jego wielorybie sadło, lecz także o odrażającą słodko-kwaśną woń, którą nieuchronnie wdychałam, gdy na mnie napierał. Z trudem odwróciłam twarz w stronę maciory z prosiętami śpiącymi w chlewie tuż obok. Gdzieś tam w mroku, na sianie, uzmysłowiłam sobie, że on musiał używać talku. Ten zapach wyłonił się spod wszystkich warstw tłuszczu, spod tych miejsc, których nie mył i nie wycierał dostatecznie starannie. Była to woń, która czasem dobywała się z mojego pępka, i pomyślałam, że gdyby ten mężczyzna miał dawniej matkę obsypującą go talkiem i miłością, nie robiłby mi teraz tego. Och, *ma chère*, to było najgorsze doświadczenie w moim życiu, a ja myślałam tylko o tym, że każdy człowiek potrzebuje troskliwej matki.

MYDŁO

A widzisz, mam tutaj kilka kostek mydła. Jedna do umywalki, druga do bidetu, trzecia pod prysznic. Do dłoni zawsze używam mydła ręcznie wyrabianego z tłuszczów zwierzęcych i roślinnych. Dobre mydło musi mieć łój wołowy jako podstawowy składnik, dalej oliwę, aby było łagodne dla skóry, i olej kokosowy, aby się obficie pienilo. Reszta, aromaty i barwniki, to już wisienka na torcie. Oczywiście, *ma chère*, wygląd i zapach mydła to sprawa istotna – jestem najdalsza od kwestionowania tego. Lecz ważniejsze jest to, jak moja skóra czuje się potem. Ponieważ mój wygląd to sztuka, którą uprawiam, gładkość mojej skóry musi być bez zarzutu, jak majstersztyk. Spytaj ślepcę – dotyk to król zmysłów. Naturalnie do bidetu wybieram mydło o woni piżma, a pod prysznic – bezwonne. Niedobrze byłoby mieszać zapach mydła z moimi kremami i perfumami.

W czasie wojny nie mieliśmy takich luksusów. Niekiedy, jeśli akurat dopisało nam szczęście, dostawialiśmy partię mydła z Rzymu albo Mediolanu, niemniej jednak był to towar bardzo deficytowy. Kąpiele zawsze były kwestią wymagającą odwagi, nawet w czasach większego dostatku: stałyśmy z flanelowymi ścierkami nad obłupaną kremową miednicą na dworze i szorowałyśmy się do czysta – w chłodzie zimy i ciepłe lata. Gdy Niemcy zaanektowali nasz mały świat, dostawy się wyczerpały. Może i dobrze, bo dziś wiemy, jakiego

to „zwierzęcego” tłuszczu naziści używali do produkcji swojego mydła.

Przed wojną moja matka wyrabiała mydło dla zaspokajania sporadycznej zachcianki, która przypominała jej o własnej matce. W trakcie wojny była to już niezbędna powinność. Za każdym razem, gdy któreś z nas wyprawiało się do lasu i na ziemi znajdowało poułamywane gałęzie brzozy, jedynego drzewa liściastego w naszej okolicy, znosiliśmy je do domu i spaliliśmy na popiół. A gdy z wypadów do doliny matka wracała z kawałkami dębu albo kasztana, jej twarz promieniała triumfem.

Zadaniem moim i mojej siostry było wymiatanie zimnego popiołu z paleniska i wsypywanie go do specjalnej beczki ustawionej na kamiennym podwyższeniu. Gdy beczka się zapelniła, matka tak długo zadręczała ojca, aby zajął się popiołem, aż w końcu ustępował i brał się do roboty. Zalewał go deszczówką zebraną przez matkę w innej beczce. Płynny ług, brązowa żrąca ciecz – szybko nauczyliśmy się, aby tego nie dotykać – stopniowo wyciekał z dna koryta do kubła czekającego pod spodem. Christl i ja zeskrobywałyśmy każdą najmniejszą cząsteczkę tłuszczu wołowego i wieprzowego z talerzy po posiłkach zjedzonych przez klientów. Rozkładający się lój trzymaliśmy w wielkiej metalowej bańce na mleko. Gdy nadeszła właściwa pora, matka zaczynała od gotowania tłuszczu na ogromnej patelni z odrobiną wody, wygarniając resztki mięsa i kości. Potem, kiedy tłuszcz robił się ciekły i przeźroczysty, dodawała ług. Na ławach w kuchni wykładaliśmy w długich rzędach drewniane formy do odlewania kostek mydła. Każda była unikatowa, rżnięta przez wieśniaków podczas długich zimowych nocy. Matka nigdy nie dodawała zapachów. Wyrabiane przez nią mydło było gładkie i twarde. W kuchni używaliśmy go do zmywania, w pralni do prania brudów, w łazience do higieny osobistej. Nasze ubrania,

garnki i rondle oraz nasze ciała wydzielaly tę samą woskową woń. Trudno, najważniejsze, że mydło spełniało swoje zadanie i byliśmy czysti.

*

Trzeba uczciwie stwierdzić, że przez pewien czas byłam rozstrojona po tym, jak sierżant mnie zgwałcił. Zostawił mnie w chlewie ze świniami, zbyt sparaliżowaną, aby się poruszyć czy płakać. W odróżnieniu od samego aktu, który pamiętam aż za dobrze, późniejsze godziny zatarły się w moim umyśle. Nie wiem, jak długo leżałam na sianie niczym porzucona lalka, a jednak po pewnym czasie dotarłam przez bar na piętro, do łazienki. Raz po raz namydlałam i splukiwałam swoje ciało, wciąż nalewając świeżej wody do umywalki, zmieniając flanelowe ręczniki, moczając, wcierając, szorując, obmywając, posiniaczona i rozdygotana, ledwie stojąc na nogach. Krwi i spermy pozbyłam się przy pierwszym myciu, nie mogłam jednak przestać. Nie chodziło tylko o cierpkie lepkie ślady obecności gwałciciela, ale o samo wspomnienie przygniatającego mnie cielska, jego na mnie i we mnie – to właśnie chciałam z siebie zmyć.

W takim stanie zastała mnie matka: naga przy umywalce w łazience, ze ścierką w jednej dłoni i zużytą małą kostką mydła w drugiej. Lecz jakby mnie nie dostrzegła. Wydawało się, że widzi tylko resztę mydła w moich palcach.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła, nie starając się nawet ukryć irytacji. – Dopiero wczoraj to wyłożyłam!

Nigdy nie zrozumiałam, jakim cudem nie zauważyła, że twarz mam zalaną łzami, że moją skórę znaczą siniaki i cała się trzęsę. Wyminęła mnie i odkręciła kran. Nawet nie spojrzała w lustro. Jak zwykle była ślepa albo zbyt zajęta, żeby mi pomóc.



Gdy w 1943 roku wojska niemieckie wkraczają do Oberfals, życie piętnastoletniej Rosy zmienia się nieodwracalnie. Zdradzona przez własnego ojca musi szybko dorosnąć. W końcu młoda kobieta zostawia za sobą bolesną przeszłość i z walizką w ręku rozpoczyna poszukiwanie szczęścia. Znajduje je w najmniej spodziewanym miejscu – w świecie mody. Podróżuje i spotyka fascynujących mężczyzn: Christiana Diora, chemika Charles'a, muzyka Izzy'ego, dewelopera Jima. Tworzy kreacje, które oczarowują wszystkie kobiety. Wśród drogich materiałów, zapachu kultowych perfum, skrzęcej się biżuterii próbuje uszyć dla siebie nowe życie na miarę swoich marzeń.

Kiedy otwierają się przed nią drzwi do wielkiej kariery i poznaje miłość swojego życia, wszystko zdaje się układać po jej myśli. Do czasu. Na drodze do szczęścia największą przeszkodą okazuje się jej przeszłość...

Czy Rosa stawia czoła przeciwnościom losu? Skoro od przeszłości nie da się uciec, może czas do niej wrócić?

E-book dostępny na
woblink.com



Cena detal. 44,99 zł



WYDAWNICTWO
OTWARTE